

— Panowie ministrowie — mówi ranny — pamiętajcie o naszych żonach i dzieciach. Mam żonę. Mam dzieci.

— Będziemy.
— Pamiętajcie.
— Nie trzeba wam czego?
— Nie... między swemiśmy.

Otoczające wóz gospodynie przytakiwały:
— Swojaki, swojaki.

Rzeczywiście, ranni pod głowy mieli powytłukane zawiniątka, leżeli osłonięci gałęziami od much i słońca. Dziewczęta nadbiegły z dzieżami mleka pełnymi.

Do Nasielska zdążyliśmy o zmroku. Bolszewicy uciekli z miasteczka na dwie godziny przed naszym przybyciem. Teraz strzelają szrapnelami w kierunku kościoła, ale szrapnele nie donoszą.

Zbita w gromadkę nieliczna, pozostała w mieście ludność, szepcze: — Dzięki Bogu!

Ministrowie chodzą od grupy do grupy, dzielą radość z ludem, który się cieszy z odzyskanej wolności i ze swoich ministrów.

Jakaś stara kobiecina składa ręce i przez długi czas gada do prezydenta:

— Takeście się poświęcili, panowie ministrowie, dla luda. Bóg wam szczęść!

Ta stara kobiecina bezwiednie wskazuje rządcom Polski drogę ich najistotniejszego obowiązku: dla luda...

Inna trzyma w garści zwitek banknotów sowieckich:

— Zabrali mi butów par kilka, a nawtykali tych-ta papierków.

— Zachowaj se pani na pamiątkę, bo papierki wzorzyste.

— Nie, nie — pociesza prezydent Witos — coś tam one warte, każdy rząd odpowiada za swoje pieniądze.

Panie prezydencie, obych byty nic warte, obych ten rząd cześć, jak krwawy upiór krzyżem lechickim przeżegnany, a wnuki tej kobieciny błogosławić będą chwilę, w której banknoty utraciły całą swoją wartość.

Do panów ministrów zbliżył się lud, otoczył kołem, a najstarszy z gromady począł prawić:

— Jak ojcie, przyszlście do nas, panowie serdeczni, to i wam wszystko chcemy powiedzieć, jak było. — I jał opowiadać, jako wrogowie zaraz po przybyciu ustanowili straż bolszewicką, jako magistratowi nakazali pracować, a ludzie się ku temu znaleźli! Magistra ludzicy urzędnicy otrzymywali po 50 rubli sowieckich dziennie, a po 27 członkowie straży. Wnet został mianowany komisarzem bolszewickim polak, katolik z pobliskiej wsi. W chwili

ucieczki zabrali go ze sobą bolszewicy, ale i trzech księży zabrali i co wybitniejszych obywateli także. W nocy, w przeddzień wyjazdu ich aresztowali. Gdy deputacja obywateli udała się z prośbą o wypuszczenie, bodaj księży, bolszewicy dygnitarze odrzekli: — To nie my, to wasz komisarz nakazał ich aresztować. — Panowie ministrowie, — z ogniem wołał stary — czy na nich kary nie będzie? My tu ich znamy, komisarz, przeniewierca, uciekł, ale innych znamy. Czy na nich kary nie będzie? Ze wszystkich wsi pobliskich bolszewicy, uchodząc, zabrali wszystkie konie i wszystek żywy inwentarz.

Generał Sikorski wezwał pułk na rynek. Ustawił się czworobok wiary żołnierskiej.

— Panowie ministrowie, do was ze słowem braterskim i podarkiem.

— Niech żyją!

— Niech żyje wojsko! — odkrzyknęli ministrowie.

— Niech żyje generał Sikorski! — wołali żołnierze.

— Jurek — mówił generał — bez koszuli, łachmany, że i wesz się nie ma czego cześcić.

— Wedle rozkazu. Ułani chcieli mnie rozsiekać. Wzięli za bolszewika, takim dziad.

— Nic to, krzyż dostaniesz na załatanie biedy, chłopaku.

— A jakże on się mnie cześci, panie generale?

— Masz humor, chłopczel!

— Miałem go, kiedy mnie gonili, jakże nie miałbym teraz, kiedy ja gonię?

Ministrowie patrzą w skupieniu po tych żołnierzach, zwycięzcach w łachmanach, bez butów... Blask bije od tych postaci, nad głowami świeci aureola z zorzy na zachodzie nieba gorejącej... W oczach mają żar zwycięstwa, zaciętość w twarzach.

Zbawcy Polski.

Czy jedynie Polski? Czy ci żołnierze nie powstrzymali hordy, którą jak gradowa, niszczącielska chmura, miała przewalić się poprzez Polskę i popłynąć hen, daleko, ze wschodu na zachód i zdruzgotać i zniszczyć świętości odwieczne narodów?

Może ci żołnierze powinni właśnie być takimi ofiarnikami, z ducha moc czerpiącymi ku wielkopomnemu zwycięstwu... Może...

A górą pękały szrapnele bolszewickie...

Od ścian domów w rynku odbijało się echo grzechotu karabinów naszych i stukotanie „maszynek”.

Za miastem, szła ścierniskiem tyraljera naprzeciw kul bolszewików, co w lasu zaczajeni, próbowali opór jeszcze stawić. Nasze chłopaki idą, ani myśląc padać i zrywać się i zno-

wu biedzi; idą prosto na kule, tak gardzą chamstwem bolszewickim.

Naprzeciw strzelaniny, w tyraljerze, żołnierze bosi, z wielką uwagą idzie, suwając po ściernisku bosymi nogami: bardziej od kul boi się urażenia nóg poranionych.

Słyszycie wy to, w kosztownych bucikach szlifujący bruki warszawscy eleganci?

Nim przemyślałem to, co teraz piszę, wszystko uciekło w lasy: dobiegli go nasi chłopcy. Zamilkły i armaty bolszewickie, których nie zaszczyliła nasza artylerja ani jednym strzałem. Wzięła je całe i nieuszkodzone piechota.

Wracamy nocą. Na niebie migocą gwiazdy.

Po bokach drogi ogniska biwakujących żołnierzy. A drogą ciągną i teraz w stronę Nasielska długie szeregi piechoty, artylerji, ułanów. Idą niefrasobliwie, spokojnie, bez pośpiechu, ale i bez ociągania. Mają czas i miejsce wskazane zawczasu. Zdają.

Drogą jedzie samochód ciężarowy z rozśpiewanymi żołnierzami. Doganiamy go. Głowy poobwiązywane, ręce na temblakach, to ranni śpiewają pieśń o zwycięskiej Ojczyźnie.

Robi mi się dziwnie łzawo.

Na boku drogi leży czerniały trup bolszewika. Daleko, na drutach kolczastych, wisi ich wielu porosplinanych w najdziwniejszy sposób. Ale w tym dniu to nie jest okropne, owszem, potrzebne do całości tryumfu.

Tak armia generała Sikorskiego łamała front bolszewicki na swoim terenie bojowym.

Na innym — zwycięstwo wymodlił ksiądz, w stule i z krzyżem w ręku idący w pierwszych szeregach do ataku. Wymodlił przez ofiarę krwawą z ciała swojego i krwi swojej... kapłan lechicki.

Dalej, marszałek uderzył, jak młotem, w szeregi wrogów. Od uderzenia rozprysły się i rozleciały na części.

Takim był dzień 16 sierpnia 1920 roku w Polsce.

O dniu tym tak mówi odezwa Robotniczego Komitetu Obrony Warszawy:

„Dzień 16 sierpnia 1920 roku będzie w historii narodu polskiego, w historii ludu polskiego dniem uroczystego święta. Wczoraj światem lud polski uzbrojony, żelaznym ciosem rozdarł cielesko najeżdźcy, pierścieniem dział i bagnetów, naiegające na Warszawę. W okrutnej walce ugodzono w główny nerw armji rosyjskiej, od 3 tygodni usiłującej Polsce zadać sztych śmiertelny w serce jej, w stolicę. Chłop, robotnik, inteligent, skaut, dziecko i kobieta, wspólnym jednolitym w tak tragicznej godzinie wysiłkiem, skutecznie odrzucają najeźdźnika”.

Posterunkowy zapisuje.

— W ubiegłym tygodniu, jak stałem na owej wąskiej ulicy która prowadzi do rogatek, miałem skandal, jaki rzadko trafia się policjantowi.



ulicę a potem obadwa obozy za zakłócenie porządku zaprowadziłem do komisariatu. Właścicielką wozu prowincjonalnego była pani Pępkowska, rozwódka, uciekająca przed bolszewikami z miasta Sochaczewa, jako że w Warszawie zawsze jest bezpieczniej. Platforma zaś w Warszawie wynajęta należała do pana Pępkowskiego, rozwodnika, który uciekał przed bolszewikami do miasta Sochaczewa, gdyż w mniejszym mieście zawsze jest bezpieczniej. Dyżurny aspirant na komisarza, pana Pępkowskiego i panią Pępkowską kazał zamknąć w niewielkim pokoju, gdzie oboje przesiadzieli do rana.

— Warszawa jest obecnie stolicą, z tego powodu przewija się tu ogromnie wiele cudzoziemców którzy nie znają naszego języka. Wczoraj podchodzi do mnie cudzoziemiec ubrany po japońsku i o coś się zapytuje tak samo po japońsku, więc ja, po japońsku nic nie rozumiejąc ani żeż nie mogę go informować. Naraz, masz! zbliża się inny cudzoziemiec ubrany na szweda i mówi do mnie po szwedzku a że jestem tylko bardzo mało na pudełkach z zapalnikami szwedzkimi kształcony, z tego robi się nowy malkament. Na szczęście, przechodził mój znajomy z Karmelickiej Abel Cyranka, zegarmistrz. Zaczął z cudzoziemcami rozmawiać po żydowski i wszystko jak trzeba wytłumaczył, z czego byłem bardzo zadowolony że się to tak gładko skończyło.

— Dzisiejsze fury chłopskie są o wiele wytrzymałe niż dawne a konie dużo mocniejsze. Przed wojną, chłop władował ziemniaków za jakieś 20 rubli i często konie mu z przeciążenia stawały lub koło się łamało. Uważałem to, mieszkając przy rogatkach. Obecnie ten

sam chłop, wiezie ziemniaków za 5000 marek, jego baba dobierze kapusty i kur za 1500 mk. i jadą sobie klusem jak na wesele, konie wesoło przyhają i wóz jest cały. Co to może postęp!

— Dziś wszystko stoi na ofiarności i dobrze jest, ponieważ ten kto ma więcej, powinien wspierać tych co są w niedostatku. Publiczność daje wiele może na rozmaite filantropijne cele. Jednego tylko nie mogę zrozumieć z czego żyją te coraz liczniejsze psy, wielkie jak cieleta, spaśle i w poślacanych obrożach na grubych szyjach. Utrzymanie takiego olbrzymiego psa często więcej kosztuje, niż utrzymanie trojga drobnych, wybladłych dzieci z suteryny. Musi być w mieście jakiś chyba bank dla wielkich psów, ale adresu nie mogłem znaleźć w żadnym informatorze.

— Wojnę z bolszewikami wygrywamy lecz to się nie na wiele przydaje. Zastój w stolicy jak był, tak trwa w dalszym ciągu i niewiadomo kiedy to się skończy. Największa stagnacja panuje pomiędzy zegarami ulicznymi. Na halach targowych zegary strajkują, na domu Tow. „Rosja” na Marszałkowskiej, na starej poczcie, na rogu Marszałkowskiej róg Jerozolimskiej i t. p. Najsprytniejszą reklamę urządzają zegarmistrze. Wielu z nich zegary uliczne zalepiło papierem, pewno na znak że te które w sklepach mają do sprzedania, tak samo wybornie chodzą. Jednemu z policjantów, zamieszkalemu w Grochowie zepsuł się zegarek. Za każdym razem, żeby nie spóźnić się na służbę, chodzi na plac Zamkowy patrzeć która jest godzina.